Rok 5. Kalisz dnia 28 Grudnia (9 Stycznia) 187¾ r. №. 3.

KALENDARZ		
Dziś	godz.	min.
Wschód słońca	8	9 r.
Zachód „	4	6 w.
Długość dnia. .	7	57
Przybyło dnia .	—	19
Wschód księżyca	11	33 w.
Zachód . „	we dnie	

KALISZANIN,

GAZETA MIASTA KALISZA I JEGO OKOLIC.

TERMOMETR		
Dziś	rano	w poł.
Zimna	8	6

BAROMETR

Wczoraj } pochmurno — pogo-
Dziś . } da stała.

Piątek dnia 9 stycznia 1874 roku.

Dziś, św. Marcjanny P. M.— D. 10, św. Agatona Pap. — D. 11, św. Higina Pap.— D. 12, św. Arkadjusza M.

Kaliszanin wychodzi 2 razy w tydzień, t. j. we Wtorki i Piątki w południe.— **Cena Kaliszanina:** kwartalnie: rs. 1 kop. 20, za przesyłkę pocztą kop. 40; miesięcznie kop. 40, za odnoszenie po kop. 5 miesięcznie; numer pojedyńczy kop. 6. — **Prenumeratę przyjmują:** w Kaliszu: główny kantor w drukarni wydawcy W. Hindemitha, i miejscowe księgarnie, oraz w Sieradzu księgarnia Rubinsteina.— Artykuły nadsyłane zwracanemi nie będą.
Cena ogłoszeń.— Za pierwsze 6 wierszy kop. 25, za każdy następny wiersz po kop. 3.

Wiadomości miejscowe i okoliczne.

— Do księgarń naszych przyszły obecnie „Tłumaczenia Antoniego Edwarda Odyńca.” Są to trzy tomy obejmujące poemata: w 1-ym „Panią Jeziora,” w 2-im „Pieśń ostatniego minstrela,” dwa cudownej piękności poematy Waltera Scotta, oraz „Ballady i baśnie,” w 3-im „Korsarza,“ „Narzeczoną z Abydos,” „Mazeppę,” „Niebo i ziemię,” Bajrona. Tłumaczenia te wyszły już raz przed laty przeszło 30-tu, lecz wyczerpane są zupełnie. Kto zna piękność i urok owych przekładów sędziwego dziś poety, ten przyzna nakładcom zasługę, że się wzięli do ich przedruku. Jednakże, pominąwszy wysoką cenę po rs. 1 za tom, bo każdy z nich ze względu na rzecz wart tego, pominąć nie możemy, dla czego do niniejszego zbioru nie wchodzą i inne dzieła Odyńca, także już mało znane dzisiejszemu pokoleniu? Czemu tam niema „Peri i Raj” tłumaczenia z Moora, czemu nie ma wszystkich oryginalnych poezji, Listów z podróży (prozą), i słowem tego, co dotąd czcigodny ten przyjaciel piewcy „Grażyny” napisał? Bez tego wszystkiego, kulawo jakoś wygląda, choć każdy z tych przekładów i utworów jest perłą w naszej poezji i szacownym nabytkiem w literaturze. Wprawdzie przy końcu 3 go tomu widzimy, że napisano tam nie „Koniec,” ale z dodatkiem „tomu 3-go,” co każe się domniemywać, że będzie tomów i więcej; nic przecież o tem nakładcy niepowiadamiają publiczności, a o ile, przynajmniej jak u nas słyszeć się daje, chętnieby przyjęto całe wydawnictwo ponowne utworów wierszem i prozą sędziwego, a tak prześlicznie jak Odyniec władającego piórem poety. Więcej tomów — a niższa ich cena, sądzimy, niezraziłyby nikogo, zaś wydawnictwo miałoby może i materjalnie — niewątpliwie umysłowo, donioślejsze korzyści.

— Z końcem roku v. s. pp. członkowie towarzystwa opieki nad zwierzętami winni wnieść coroczną opłatę w ilości rs. 3, o czem czujemy się w obowiązku przypomnieć.

— „Wiek” pisze: Jak nas zapewniają, pozwolenie jakie otrzymał p. Trapszo na sezon letni w Warszawie jest na dawanie przedstawień w języku niemieckim w ogródku Alhambra.

(Czyżby to miało być prawdą?)

— Młodzież szkolna po ferjach świątecznych zjechała się już do Kalisza, i wykład lekcji rozpoczętym został.

— Nakoniec doczekaliśmy się mrozu i dziś już zima ma nas na dobre w swojem objęciu.

— We wtorek (13 b. m.), ujrzemy na scenie operę komiczną p. n. „Mały Faust,” stanowiącą trawestację z Fausta Goetego, z muzyką kompozytora francuzkiego Hervais. Będzie to prawdziwa nowość. Sztuka ta bowiem umyślnie dla p. Trapszy przetłumaczona, nigdzie jeszcze w polskim języku nie była graną.

— We wsi Winiarach pod Kaliszem, urodziło się cielę z dwoma głowami i czterema oczami. Cielę to dotąd żyje, i ciekawi oglądać go mogą na folwarku w Winiarach.

— We czwartek na benefis utalentowanego i cieszącego się uznaniem naszej publiczności, artysty dramatycznego p. Zaremby, daną będzie melodrama Eugenjusza Sue „Żyd Tułacz.”

— W poniedziałek, jako w wigilję nowego roku v. s., w klubie kaliskim dany będzie bal.

— Ostatnie przedstawienia dowiodły, że publiczność nasza coraz liczniej zaczyna się zbierać do teatru. W obec tego p. Trapszo powinienby wyrzec się zamiaru prędkiego opuszczenia Kalisza, inne bowiem miasta jak Piotrków i Łomża, do którychby się udał, nie są w stanie zapewnić mu takiego jak w Kaliszu powodzenia.

— W dalszym ciągu ofiar na korzyść zakładów dobroczynnych, w miejsce powinszowań nowego roku, p. Grawe, radca Rządu Gubern. złożył w biurze rady gubernialnej rs. 1;— nadto złożono w redakcji Kaliszanina na tenże sam cel od p. Czaplin, nadzorcy 1-go okr. rs. 3.

Korespondencja Kaliszanina.

—

Z nad Bzury, w styczniu 1874 r. *)

Szanowny Redaktorze! — Wyrwałem się przecie z waszego kochanego Kalisza i powróciwszy do rodzinnego kątka, otrząsam pył z szat swoich, aby ani na mnie, ani przy mnie nie pozostało nic, coby Kaliszem trąciło, coby mi go przypomnieć mogło. Całe dwa tygodnie, to test 14 dni, albo 236 godzin siedziałem u was; przeklęta sprawa i adw.... wcześniej mi wyruszyć nie dali. W kozie, dalibóg, nie byłem nigdy, ale zdaje mi się, że łatwiej by mi było spędzić owe dni 14 pod kluczem i zamkiem, aniżeli w stolicy naszej gubernji.

Miasto, nie mówię, i owszem od lat piętnastu, to jest od mej ostatniej w Kaliszu bytności, zyskał on wiele; uporządkował się jakoś i wcale ma nie złą minę. Ale za to ludzie! no i ci mają miny niczego: czupurne (choć trochę z niemiecka), i buńczuczne, lecz wdaj się z nimi w interes i

*) Zamieszczając korespondencją z nad Bzury redakcja Kaliszanina uważa za niezbędne nadmienić, że uważając ze swej strony, niektóre ze szczegółów przytoczonych przez szanownego korespondenta za zbyt wyraziste poglądów jego stanowczo podzielić nie może. Wziąwszy jednak za zadanie sprzyjać wolności wypowiedzenia publicznie swojego zdania, Redakcja, choć ją to w przykrem postawiło położeniu, korespondencją z nad Bzury z powyższem zastrzeżeniem, zamieszcza.

(Przyp. Red. Kal.)

RÓŻA

POWIEŚĆ

Fryderyka Spielhagena;

przełożył z niemieckiego

D. SKURZALSKI.

—

(*Ciąg dwudziesty piąty*).

—

Burza była tak silna i ogień rozprzestrzeniał się tak bystro, że reszta podwórza wkrótce przedstawiała jedną zbitą massę ognia, podczas gdy śpichrz, który dał początek pożarowi, gorzał wciąż jeszcze z jednej strony tylko. Wejssenbach skupił całą swą uwagę na ten punkt. Tymczasem z okolicznych wsi przybyło jeszcze kilka sikawek i uszykowało się na wąziutkiej wiejskiej drodze między śpichrzem i wsią, tak że gdyby wiatr nie zmienił kierunku, to ta strona była zupełnie zabezpieczoną. Ale w tejże chwili gdy było widocznem, że pozostała reszta budynków zginęła bezpowrotnie, i nawet część ich zupełnie runęła, wiatr zmienił kierunek. Natychmiast śpichrz, zaledwie tlejący z jednego brzega frontu, zwróconego ku dworowi, wybuchnął jasnym płomieniem ciągnącym się wzdłuż długiego dachu ku dworowi. Gdyby się i on zapalił byłoby większe nieszczęście, ztąd bowiem ogień mógłby się przenieść na poblizkie domy grożąc niebezpieczeństwem całej wsi.

Między dworem i płonącym śpichrzem znajdowała się wolna przestrzeń na pięćdziesiąt kroków. W tem punkcie skupiły się wysilenia ludzi przeciw żywiołowi. Sikawka, która co tylko przybyła, tu się uplacowała i niezmordowanie funkcjonowała swym szerokiem strumieniem na dach i ściany śpichrza, oraz na dach dworu, który się już zajmował miejscami. Ale ogień jakby czerpał nowe siły w tem nie wystarczającym laniu. Płomień niepowstrzymanie szerzył się coraz dalej; czerwone języki ognia chciwie oblizywały się na dwór.

— Fronton trzeba zerwać!—zawołał jeden z ludzi przybyłych z świeżą sikawką i widocznie mający przewagę nad innemi.

— Tak, ale któż odważy się tam wejść!—odrzekł drugi.

— Ja, odpowiedział pierwszy.

Przyniesiono długą drabinę. Człowiek ów zaczął się po niej wznosić w górę, trzymając w rękach cienki sznur, na przeciwnym końcu którego przymocowanym był mocny, żelazny łańcuch. — Owinął sznurem jedną z belek. Stojący na dole na jego wezwanie zaczęli ciągnąć, łańcuch się podniósł i został przytwierdzonym do belki ostrym końcem. Wszystko to stało się tak szybko, że ludzie stojący na dole zaledwie zdążyli założyć do końca łańcucha, wiszącego na dole, parę koni. Ale pomimo to, że ogień obnażał jedną belkę po drugiej i niszczył spojenia, silne zwierzęta nie zdołały zerwać frontem. Jeszcze parę koni! I jeszcze parę! Konie dobywały ostatnich sił pod razami bicza; nareszcie łańcuch zaskrzypiał, belka, do którego była przytwierdzona, zawachała się, i za nią wpośród okrzyków tłumu runęła większa część frontonu. Ale na wierzchu znajdowało się jeszcze wiele żywiołu ognia. Pierwsza, przechodząca wszelkie oczekiwania próba, wywołała drugą. Zwlekać nie można. Jeśli pozostała część frontonu będzie niszczoną, ogień musi się ograniczyć pewną przestrzenią i sikawki stanowczo wezmą nim górę. Znów przystawiono drabinę, znów wzniósł po niej ten sam człowiek, obejmowany ze wszech stron płomieniami, które na chwilę silnej jeszcze wybuchły skutkiem upadku jednej części frontonu. Pomimo to, udaje mu się przytwierdzić hak łańcucha. Ludzie na dole jakby zapamiętali, zaczęli poganiać konie, za pomuiawszy zupełnie o człowieku, wciąż jeszcze zawieszonym w górze na wątłej drabinie.

W tejże chwili nadszedł von Wejssenbach. Zajęty on był na drugim końcu podwórza i co tylko powziął wiadomość o niebezpieczeństwie, grożącym dworowi. Jego bystry, choć stary wzrok jednym rzutem objął całe położenie; przedewszystkiem uderzyła go niebezpieczna pozycja człowieka zawieszonego na drabinie. Bez zwłoki zatem czasu rzucił się w przestrzeń między drabiną a końmi pod skrzypiący łańcuch, i ukazując ręką na nieszczęśliwego, woła na ludzi, zawzięcie poganiających konie, aby się zatrzymali, aby pomogli uratować nieszczęśliwego. Ale już zapóźno. Na wpół przepalone belki z trzaskiem walą się na podwórze i pociągają za sobą drabinę z czło-

chciej co kupić lub sprzedać, to z tobą postąpią jak gdyby ich nigdy miłości chrześcjańskiej nie uczono.

Obszedłem ja (ale nie objechałem koleją żelazną jak inni co to tylko banhofy widzą) znaczniejsze miasta Europy i śmiało powiedzieć mogę, że mało znalazłem takich miast, w którychby ceny, na wszystkie bez wyjątku przedmioty, tak były wygórowane jak w Kaliszu, ale, dalibóg, niewidziałem nigdzie, żeby za tak drogie pieniądze, równie nędzny towar dawano.

Tandem tedy, w przekonaniu, że szan. Redaktor nie odmówisz przecie, i pisanie moje, aczkolwiek nie dla wszystkich przyjemne, w gazecie swej wydrukujesz, ufam; że może też ono będzie dla wielu korzystnem i pożytecznem.

A choćby też głos mój był tylko wykrzykiem oburzenia, to i to darować mi należy, z uwagi, że nawet zwierzę, kiedy go kto bije, broni się lub krzyczy, dlaczegóżby więc człowiek miał milczeć, kiedy go żywcem ze skóry odzierają?

Przyjechałem kurjerką, mówiąc nawiasem o godzinie trzeciej, to jest o siedm lub ośm godzin później jak należało. Pytam tedy dla czego? — „Śnieg, zła droga," — odpowiadają. A dla czegoż to pruskie kurjerki nigdy się nie spóźniają? czyż one po złych drogach nie chodzą, lub w Prusach śnieg nie pada?

Przyjechałem tedy zły i głodny (te słowa u nas to pono synonimy). Staję w hotelu. Pokój mi dano nie wielki, ale przyznać muszę, porządny. Co za niego? „Trzy złote." No, to jeszcze pół biedy. Ale gdy doba upłynęła i przez ciekawość prosiłem o rachunek, tom, jak mi Bóg miły, zdumiał najzupełniej. Za ów pokój, szklankę herbaty i kawy, kazano mi położyć na stół nie trzy złote, ale trzy ruble srebrem.

Jak wypisali rachunek, to był w nim pokój, i pościel, i świeca, i usługa, i opał; a to wszystko takim aptekarskim obliczeniem, że bądź co bądź, trzy ruble zapłaciwszy, uciekłem jak oparzony szukać sobie innego dachu i schronienia. Ale z deszczu wpadłem pod rynnę. Za mniejsze wygody kto wie czy nie drożej płacić mi wypadło.

Ale to tylko początek przykrości, w których aż mi się żółci ulało, a kieszeń wychudła zupełnie.

Nie będę więc wam mówił o cukierniach, gdzie mi za kieliszek wódki po 20 groszy, ba, i po złotówce płacić kazano; zamilczę o restauracjach, gdzie mi dawano objady po dwa złote, wcale nie lepsze jak w Warszawie „Pod konikiem" po złotówce dostanie; nie wspomnę też o kupionych butach, co się w dwa tygodnie rozleciały, ale Wam opowiem o śniadanku, którego nie prędko zapomnę.

Z kilkoma znajomemi poszliśmy, jak to mówią, na kieliszek. Przybyliśmy tedy do handelku.

Mówiąc między nami, strach mnie brał na myśl, co to kosztować będzie, ale rachunek przeszedł jeszcze wszelkie moje oczekiwania.

Piliśmy tam i jedli rzeczy różne, a dalibóg kuchnia nie szczególna, a wina podejrzane. Na zakończenie bachandrji, ktoś szepnął, że wartoby *dla szyku* wypić szampana. Kazałem tedy dać butelkę, choć cierpieć nie mogę tej małmazji zamorskiej, ale przytem słowo: „szyk" uderzyło mnie niepomiernie. Jest szyk w gramatyce, jest szyk bojowy; czyżby to o tym ostatnim mówili w przekonaniu, że jak szampana wypijem, to wszyscy będziemy w bojowym szyku? Nie sądzę, bo wychodząc z handelku, prędzej wyglądaliśmy na tyraljerów, niźli na uformowane w szyk bojowy, wojsko.

Wczoraj dopiero syn mój Władzio, który także widzę na szyk choruje, starał mi się wytłomaczyć, co to ów szyk znaczy. Gadał on dużo, ale z tego wszystkiego wymiarkowałem sobie, że ubierać się oryginalnie i rażąco, zadzierać nosa nie pomiernie, grać wysoko w karty, żyć nad stan, mieć piękne konie, protegować baletniczki i w ogóle robić wszystko to, co wychodząc z przyjętych granic, razić musi porządnych ludzi, nazywa się szykiem.

Wolę już szyk nawet z gramatyki.

Ale idźmy dalej.

Między innemi sprawunkami, poleciła mi żona i córki kupić im kapelusze, okrycia i wiele tym podobnych fatałaszek.

Byłem tedy u modniarki, ale i tu zawiodłem się zupełnie.

Kiedym przyjechał do domu, żona i córki wytłomaczyły jak najjaśniej, że mi dano stroje oddawna już wyszłe z mody, żem i na cenie został oszukany.

Wprawdzie i męzkie kupując rzeczy, nie lepiej na nich wyszedłem. Surdut zrobiony u wielce *szyk* krawca, w krótkim się czasie rozleciał, tak sukno w nim było zleżałe, a choć był niezbyt wytwornym krojem, kazali zań zapłacić po warszawskiej cenie.

Tym podobnych interesów wiele załatwiłem w Kaliszu, i ztąd przyszedłem do najzupełniejszego przekonania: że kupcy i rzemieślnicy, restauratorowie i modniarki, cukiernicy i właściciele hotelów, idąc na równi z pierwszemi miastami europejskiemi, ale niestety co do cen jedynie, pod względem doskonałości wyrobów, trwałości i w ogóle jakości towarów, zupełnie im niedorównywają.

Czyż to jest loiczne i czy powinnoby być cierpianem?

Byłem też i w waszym teatrze, ale dali Bóg, nie zostałem zadowolouy. Wielu u was aktorów i aktorek, w tej liczbie oprócz dobrych są i mierni, ale nie dosyć na tem, i ci jeszcze wychodzą często na scenę, nie mając wyobrażenia o roli. Zwykle nieudolności towarzyszy próżniactwo. Przytem, o ile mógłem wymiarkować, reżyserja teatru zbyt słabą prowadzona jest ręką.

Na tem zakończę, szczęśliwy, że oburzenie swoje na papier przelać mogłem, nadmieniając, że jeśli zezwolić raczysz szan. Redaktorze, to i w przyszłości, od czasu do czasu napiszę słów kilka, na prawdziwą swoją satysfakcją, a dla Twoich czytelników nudy.— Przyjm i t. d.

Bocian z nad Bzury.

Różne wiadomości.

—

— W m. lutym roku przyszłego za Najwyższem pozwoleniem odbędzie się kongres przedstawicieli rosyjskich banków rolnych. Posiedzenia pod przewodnictwem radcy tajnego Dymitra A. Oboleńskiego, b. dyrektora departamentu poborów celnych, będą miały miejsce w Petersburgu.

— Na wielkiej radzie lekarskiej w Monachjum, wynalazca lekarstwa anticholerycznego Jäger, który żądał 100,000 tal. za swoje odkrycie, dowodził, że powodem cholery jest robak w kiszce odchodowej, którego struć można siarką albo proszkiem perskim. Głośnym śmiechem powitali lekarze to odkrycie; ale wynalazca twierdzi, że tylko zazdrość przez nich przemawia.

— Długowieczność.— „Anglo-Brasiljan-Times" podaje wiadomość o żyjącym dotąd człowieku, który urodził się d. 29 maja 1695 r., azatem liczy przeszło 178 lat. Nazywa się Don Jose Martins Continho; za młodu walczył z Holendrami pod Pernambuco. Narzeka tylko, że mu sztywnieją stawy. Rodzina jego składa się z 123 wnuków, 86 prawnuków, 24 pra-prawnuków, i 20 pra-pra-prawnuków.

---

wiekiem. Belki lecą wprost na von Wejssenbacha, ale jakiemsiś cudem omijają go. Nachylają się ku nieszczęśliwemu spadłemu z drabiny wprost pod jego nogi. Klęka, podnosi skrwawioną głowę, odgarnia włosy z zranionego czoła. Ludzie biegną aby mu pomódz, podnieść trupa. Wejssenbach zaś wstaje i mówi: „To hrabia Lenhsfeld zanieście go czemprędzej do domu i biegnijcie po doktora!"

Przy tych słowach opuściły go resztki sił. Zakręciło mu się w głowie, w uszach zaszumiało, wszystko w około jak noc, pociemniało,—i upadł bez zmysłów na ręce otaczających go.

Róża spełniła polecenia ojca z zimną krwią, której się sama dziwiła. Jedyną jej troską było, aby ojciec skutkiem swej uczciwości nie popadł w niebezpieczeństwo; ale cóż było robić? Ojciec nie mógł nie uczestniczyć w walce, toczącej się z dzikim żywiołem i to w walce jego mienie. Czuła to Róża dobrze.

Nic jej zatem nie pozostawało więcej, jak być przygotowaną na wszystko, nawet na coś najgorszego. Przy pomocy starego Wencla i służącej, przeniosła upakowane walizy ojca na dół, do przedpokoju, ażby ztąd bez straty czasu można je przenieść w bezpieczne miejsce. Po czem udała się do swego pokoju i wzięła od staruszki dziecko, aby dać jej możność wyniesienia swych rzeczy z domku, który zajmowała z mężem. Lecz frau Wencel ani słuchać o tem nie chciała!—„Niech się spali, rzekła, przyszłam do tego wszystkiego w waszym domu a zatem niech się razem z nim spali. Moje miejsce tu. Kto wie, co jeszcze może być."

Róża zmuszona była dać staruszce pokój, która niezapominając o swych manatkach, zdołała pod nieobecność Róży zebrać i upakować wszystkie jej rzeczy aż do najmniejszych drobiazgów. Róża zastała prawie wszystko gotowe. Dziecko było wyjęte z pościołki i zakutane w salopę, aby nie tracić i chwili wrazie potrzeby. Frau Wencel usypiała go śpiewaniem, chodząc po pokoju. Róża zbliżyła się do okna dla przyjrzenia się postępowi pożaru.

Przestrzeń między domem i palącym się śpichrzem była oświetlona jak w dzień. W tej właśnie chwili zakładano powtórnie konie do łańcucha. Róża nie mogła pojąć zrazu, w jakiem celu to robiono, dopóki śledząc okiem za kierunkiem łańcucha nie spostrzegła na szczycie wysokiej drabiny człowieka na równi z palącym się frontonem. Zadrżała z przerażenia. Odległość była zbyt wielka, aby można było widzieć rysy jego twarzy; ale już sam widok postaci ludzkiej, wyraźnie rysującej się na ognistem tle,—napełniał jej duszę strasznemi domysłami. Stała, złożywszy ręce, i wlepiwszy oczy w straszne widowisko, nie mając siły ni poruszyć się z miejsca, ni wymówić jednego wyrazu. Naraz, drabina się zakołysała, widzi, że on leci na dół,—i z dzikim okrzykiem biegnie, biegnie tak szybko, co tylko mogą wydążyć nogi, biegnie z pokoju przez korytarz, na dół po wschodach. Gdy już była na ostatnim stopniu, we drzwiach ukazali się ludzie z dwoma martwemi ciałami na rękach. Ludzie ci, chcąc odetchnąć lub też nie wiedząc gdzie się obrócić złożyli swój ciężar na walizach. Róża rzuca się ku nim. Przeczucie ją nie omyliło. To hrabia! i,—o wielki Boże! - ojciec, blady jak śmierć, zimny jak lód, z nawpół otwartymi oczyma—nie żywy... Róża stała, jakby rażona piorunem. Po niejakiem zaś czasie, spokojnym, obumarłym głosem poleciła przenieść ojca i hrabiego do przyległego pokoju i ułożyć ich tam na długich i szerokich sofach do przybycia doktora.

XXI.

Po strasznej nocy nastąpił pochmurny ranek. Po północku upadł śnieg, po raz pierwszy w tej jesieni. Czarne, dymiące gruzy wyglądały jeszcze smutniej i posępniej pod białą osłoną śniegu. Zabudowania dworskie zgorzały ze szczętem. Wszyscy przypisywali cudowi, że dwór ocalał, okupiwszy się kilku zgliszczami na dachu i ścianach, i kilku stłuczonemi szybami. Przyczyna pożaru nie była tajną, było to z podpalenia—zdecydowano to jeszcze w nocy, a teraz dowiedziano się, kto był podpalaczem. W głębokiem rowie, ciągnącym się między parkiem i polami ku Wejssenbach i napełnionym wodą więcej jak zwykle w skutek nieustannych deszczów, znaleziono ciało oberżysty z pod „Czerwonego Jelenia," który zniknął od wczorajszego wieczoru. Ostatniemi czasy nie raz dał się słyszeć ze swym zamiarem: „zemszczenia się na dziedzicu za jego dumę." Jeszcze wczoraj po pijanemu czynił odgróżki. Prócz tego znaleziono w jego kieszeniach kilka pudełek zapałek, krzesiwko, krzemień i mnóstwo hubki. Widocznie, skończywszy swe dzieło, chciał po cichutku uciec z podwórza i przeskoczyć przez rów, aby z tąd przez pola powrócić z przeciwnego końca wsi do domu, ale pośliznął się albo też nie obliczył skoku. Inni przypuszczali, że dobrowolnie położył koniec swemu życiu, w skutek zupełnego upadku interesów, grożącego mu więzieniem.

Daleko większe współczucie obudził los von Wejssenbacha i hrabiego Lehnsfelda. Obaj jeszcze byli przy życiu: hrabia zupełnie potłuczony, a starzec w gorączce. Wszyscy głośno ubolewali nad biedną panienką Różą któr. z dobrego serca wzięła na wychowanie dziecko zmarłej Anny w sam dzień nieszczęścia i teraz musi patrzeć, jak w jej oczach umierają jej ojciec i narzeczony. Że hrabia jest narzeczonym panny Róży—stało się naraz wiadomo całej wsi. Nikt nie wiedział, zkąd pochodziła ta wiadomość. Jedni mówili, że o tem już dawno mówiono w Lehnsfeldzie, a mianowicie pastor wyraził się, że: inaczej być nie może.

Wieści te doszły i do samej Róży. Wieśnia-

— Model pomnika dla księdza Baudouina, tego prawdziwego przyjaciela nieszczęśliwych, wykonany przez zdolnego rzeźbiarza p. Kucharzewskiego, wystawionym będzie wkrótce po wysłaniu do Petersburga „Jawnogrzesznicy," w sali sztandarowej Ratusza Warszawskiego.

— Na krakowskiej wystawie sztuk pięknych znajduje się nowy obraz Matejki „Maciek Borkowic herbu Napiwów." Byłto słynny rozbójnik za Kazimierza Wielkiego, który wtrącił go do więzienia i zamurować kazał.

— W Prusach panuje taki brak zdawkowej monety, że po miastach na prowincji, firmy kupieckie biją własną monetę. Tak np. donoszą dzienniki pruskie, że w Szczecinie firma Schultz i Lübcke wybiła centnar trzechfenigówek mosiężnych. Na monecie tej z jednej strony jest napis: „Wartość 3 fenigi, z powodu braku zdawkowej monety." Z drugiej: „Schultz i Lübcke, Szczecin, Frauenstrasse 37." Koszta wybicia mają wynosić przeszło 50 procent więcej nad wartość nominalną.

— Dzienniki amerykańskie piszą: „Donoszą nam z Paryża, że ksiądz katolicki w Czechach zrzekł się swego stanu i religji, poczem jako nienależący do żadnego wyznania, ożenił się z młodą żydówką i przyjął obowiązek buchaltera w gorzelni. Trudno w istocie doprowadzić zmianę stanu i warunków życia do większej ostateczności, nie jest to przecież jedyny w tym rodzaju wypadek. W Nowym Yorku przy ulicy Essex, mieszka hiszpan trudniący się wyrobem cygar, które żona jego, bardzo piękna mulatka sprzedaje w dystrybucji na wyłączny dochód tej małżeńskiej pary. Oboje są członkami gminy bezwyznaniowej i wychowują swoje dzieci w zasadach obcych wszelkiemu kierunkowi religijnemu. Nie młody już ów fabrykant cygar był niegdyś biskupem na wyspie Kubie i pochodzi z bardzo znakomitej rodziny hiszpańskiej.

= P. Mehrmann, który przez lat dwadzieścia angażowanym był w Pradze Czeskiej na operze niemieckiej jako tenor, daje obecnie przedstawienia na instrumencie przez niego wynalezionym. Jestto prosta drewniana kuchenna łyżka, którą on bębenkowato w usta wkłada, i na jej wypukłości jakoby na klawiaturze gra.

= Dra Schliemana dzieło o Troi, wyjdzie wkrótce na widok publiczny. Dołączonym doń będzie atlas z dwóchset foljów złożony, który przeszło 4000 fotografij wykopanych przedmiotów przedstawiać będzie.

— W Chicago w Ameryce wychodzi pismo p. t. „Gazeta Polska."

Przegląd polityczny.

—

Kiedy w całej Europie panuje jeszcze świąteczna cisza, w zachodnio-południowym jej krańcu, w Hiszpanji, uprzywilejowanym kraju niespodzianek, zaraz po Nowym Roku zerwała się burza. Telegramy, które niżej podajemy, donoszą krótkie szczegóły o nowym zamachu stanu, który był następstwem obalenia rządu p. Castelar przez uchwałę Kortezów, zapadłą zaraz na pierwszem posiedzeniu tego zgromadzenia. Zamach ten był prawdziwą niespodzianką, chociaż zatargi między prezesem Kortezów p. Salmeron a naczelnikiem władzy wykonawczej, panem Castelar, pozwalały przewidywać, że większość Kortezów oświadczy się przeciw teraźniejszemu rządowi i zmusi go do opuszczenia władzy.

Dzienniki półurzędowe pruskie doniosły były przed kilku dniami o obecności arcybiskupa poznańskiego w Berlinie i dały do zrozumienia, że ten prałat przybył tam stawić się przed sądem do spraw kościelnych. Dziś te same dzienniki zaprzeczają swojej wiadomości, i dodają że hr. Ledóchowski nie uznając kompetencji tego sądu, nie stawi się, i przygotowany jest na swoje uwięzienie, które nieuniknionem się stało. Te zatargi religijne pruskie, których końca przewidzieć niepodobna, sprawiają także i w Anglji pewne wzruszenie. Depesze z Londynu zawiadamiają, że dnia 27-go b. m. odbędzie się tam wielki meeting pod prezydencją lorda Russell, mający pochwalić politykę kościelną księcia Bismark. Współcześnie jednak depesze angielskie donoszą, że unija katolicka Wielkiej Brytanji także zwoła wielki meeting pod prezydencją księcia Norfolk, aby publicznie stwierdził sympatje katolików angielskich dla swoich współwyznawców niemieckich.

W samych zresztą Niemczech, stronnicy polityki p. Bismarck bardzo się lękają, żeby rozwój kościelnego starcia nie był szkodliwym dla cesarstwa w razie nowej strasznej wojny z Francją, do której wojsko niemieckie jest przygotowane, a mianowicie, żeby katolicy południowo-niemieccy nie skłonili swych rządów do wejścia w przymierze z Francją, na które to przymierze niebezzasadnie liczył był Napoleon III, i zgodnie z tem swój plan kampanji ułożył. (z G. P.)

Sprostowanie.

—

— W N-rze 2 Kaliszanina w artykule o doktorze Sturmie przez pomyłkę na str. 6, w szp. 2, wierszu 43 od góry wydrukowano: „syn nieżyjącej Eleonory," czytać należy: „syn żyjącej Eleonory."

czki, powodowane niekłamanym współczuciem—gdyż Różę kochali tak dorośli jak i dzieci—lub ciekawością, aby zobaczyć dwór, ofiarowały swe usługi i dowiadywały się o zdrowie narzeczonego. Róża temu nie przeczyła: było jej zupełnie obojętnem, co mówili ludzie. Uprzejmie, dziękowała za ofiarowane usługi i odpowiadała, że daje sobie ze wszystkiem rady jak nie można lepiej, ze swą służbą.

Najdonioślejsza była pomoc starego doktora w tej krytycznej chwili. Wracając z okolicy do Wejssenbach, ujrzał ogień, podług jego wyrachowania we dworze. Natychmiast polecił woźnicy pędzić co tylko konie wyskoczą, i w kilka minut po nieszczęsnym wypadku wysiadał ze swego ekwipażu przed bramą dworu. Ponieważ z rozwaleniem śpichrza przedstawiała się możność zawładnięcia ogniem, przeto chorzy bezpiecznie mogli pozostać w domu; po bliższem zbadaniu okazało się, że hrabiego w żaden sposób nie podobna było ruszać z miejsca. Utrata krwi z kilku ran na głowie była zbyt wielką. Pomimo to, rany te i złamanie lewego obojczyka jak niemniej kilka silnych potłuczeń zdawały się doświadczonemu medykowi mniej niebezpiecznemi, niż niewątpliwe wstrząśnienie mózgu. Ale w pierwszej chwili nie wyrzekł nic stanowczego.

Omało co mniej niebezpieczny był stan starego von Wejssenbacha. Nie powrócił on do przytomności i po przeminięciu zemdlenia, spowodowanego fizycznem natężeniem i moralnem wzruszeniem. Na żądanie doktora, przyniesiono go do jego pokoju i położono do łóżka, podczas, gdy opatrywał hrabiemu niebezpieczniejsze rany. Konny hrabiego, który mu towarzyszył na miejsce pożaru, popędził do miasta po niektóre lekarstwa jakich niedostawało w domowej aptece doktora, i po doktora miejskiego, do którego wiejski lekarz napisał parę słów.

Doktór stoliczny, nadworny i medyczny radca, oraz domowy lekarz familji książęcej podczas jej pobytu w mieście, przybył jeszcze przed świtem. Długo naradzał się z swym wiejskim kolegą, i oznajmił Róży, że zupełnie zgadza się z jego przepisami, że jest niebezpieczeństwo niewątpliwe tak dla hrabiego, jak i dla pana von Wejssenbach, ale że spodziewa się dobrego rezultatu, i niezawodnie przybędzie jeszcze w tych dniach, jeśli tego będzie wymagał postęp choroby jednego z nich. Oraz pytał czy nie ma frejlejn von Wejssenbach jakich zleceń do Ich Książęcych Mości, którzy bez wątpienia przyjmą jak największe współczucie w nieszczęściu jakie ją dotknęło.

Ale Róża nie miała żadnych zleceń do Ich książęcych mości.

Spokojne, na wszystko gotowe męstwo napełniło duszę dziewicy jakby bożym ogniem. Bez łzy w oku, blada, napozór spokojna, wydawała rozkazy cichym, wyraźnym głosem, lub sama ściśle spełniała polecenia lekarza. Bez okazania najmniejszego pozoru kobiecej słabości lub zakłopotania, w pierwszej chwili zaraz pomagała lekarzowi we wszystkiem, co było tylko potrzebne. Poczciwy staruszek, w najkrytyczniejszych chwilach nie tracąc spokojności pożartowania, nazywał ją swym „assystentem" i utrzymywał, że medycyna straciła w niej wybornego ucznia. Róża znajdowała jeszcze czas na odwiedzanie swej wychowanki, o której miała staranie jedna zaufana dziewczyna, gdy tymczasem frau Wencel z Różą dzieliły troski i kłopoty pomiędzy dwoma chorymi.

Doktór pozostał przy całą noc i dopiero z rana odjechał do domu na kilka godzin spoczynku, co mu było bardzo potrzebnem. Chciał znaglić Różę także do spoczynku, dla doglądania bowiem chorych zupełnie wystarczała frau Wencel i kamerdyner hrabiego oddany mu duszą i ciałem, ale Róża, oświadczyła, że ma jeszcze dużo sił, i że na nią jeszcze nie przyszła kolej spoczynku.

I tym sposobem nie przestawała czuwać i przechodziła naprzemiany od łóżka ojca do łóżka hrabiego, dopóki w oknie nie zajaśniał świt poranku. Stara frau Wencel, czuwająca przy swym panu, i kamerdyner, siedzący w pokoju hrabiego kiwali się na swych krzesełkach. Lecz Róża mniemała, że nie powinna spać, dopóki wszystko się nie skończy, ażeby wtedy wraz z ukochanemi zasnąć na wieki. Nie spodziewała się ona, aby wyzdrowieli; czasami nawet jakby wyzdrowieli; czasami nawet jakby nie życzyła sobie tego. Z nieszczęsnego bowiem labiryntu jej życia nie widziała innego wyjścia, prócz śmierci. Czyż jej sądzono przeżyć wszystkich? pogrzebać ojca, kochanka—i żyć dalej, tak jakby nic nie zaszło? jakby tylko zatrzymało się parę zegarów?... Myśl ta wydała jej się pełną bojaźni, bezwstydną, niegodną silnej duszy.

Bo i cóż ojcu może być milszego nad śmierć, przed zaczęciem się ostatniego aktu tragedji? Róża zadrżała na myśl, że gdy powróci do przytomności, może zastanie polecenie aresztowania go, którego się od dawna obawiał. A dla hrabiego czyżby śmierć była teraz bardzo przykrą? W malignie, która się ukazała u niego nad ranem, nie poznając jej i nie zowiąc po imieniu, wciąż rozmawiał z nią i o niej, obsypywał ją najczulszemi słowami miłości, zapewniał, że będzie ją kochał wiecznie, chociażby go dręczyła najstraszliwszemi mękami, następnie płakał i pytał, dla czego rozbija mu głowę na kawałki, czyż jej mało, że zgruchotała mu serce? Róża przyłożyła mu rękę na pałające czoło. Uspokoił się. Tak przeszła długa, bardzo długa noc.

Nadszedł poranek. Za parę godzin przybył doktór i zastał chorych w lepszym stanie, jak się spodziewał. „Assystent" dokazał cudu; mógłby brać od niego lekcje sam eskulap. Następnie pocałował młodą dziewicę w rękę i prosił jej uprzejmie i z powagą aby go usłuchała i udała się na spoczynek. On bowiem ma kilka godzin wolnego czasu i sam obowiązuje się czuwać nad chorymi.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Kurs Giełdy Warszawskiéj.

Dnia **5** stycznia 1874 r.

Monety i papiery.	żądano		płacono	
	Ruble i kopiéjki			
Pół-Imperjały rossyjskie	—	—	—	—
Pruskie tal.	—	—	—	—
Listy zast. 3 okresu serji I. za rsr. 100	94	60	94	30
" " " serji II. " 100	93	85	93	55
" " nowe 5% z r. 1869. . .	93	25	92	95
Obligi Towarzystwa Kred. Ziemsk. .	—	—	—	—
Listy Likwidacyjne za rsr. 100 . .	79	35	79	5
Bilety Banku Cesarstwa z roku 1860	97	—	96	25
Nowa rossyjs. pożyczka premjo. 1864	164	50	163	50
" " " " 1866	158	50	—	—
Akcje Drogi Żel. Warsz.-Wied. za szt.	—	—	—	—
" " " Warsz.-Bydgoskiéj .	70	—	—	—
" Głów. Tow. Ros. Dróg Żelaz. .	—	—	142	50
" Drogi Żelaz. Warsz.-Terespol.	116	—	115	—
Obligacje Kolei Żelaz. Terespolskiéj	—	—	—	—
Akcje Kolei Żel. Fabrycz.-Łodzkiéj .	102	—	—	—
5% Listy Zastawne Rossyjskie . .	—	—	—	—

TEATR.

W sobotę: **„Hans Mathis"** Żyd polski.

W niedzielę: **„Chłop Miljonowy"** melodramat ze śpiewami.

Redaktor. **J. Tański.** — W drukarni Wydawcy. W. Hindemitha. — Za pozwoleniem cenzury miejscowej rządowej.